

Skarga do Premiera Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej Wojciecha Jaruzelskiego w Warszawie, którą wysłałem 22 marca 1981 roku drogą pocztową bezpośrednio do Warszawy, oraz jednocześnie za pośrednictwem Ambasadora PRL w Köln.

JERZY KOWALCZYK

Gartenstr. 25, 6365 Rosbach 3 Rodheim

dnia 5 marca 1981 roku

Do

Premiera Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej

WOJCIECHA JARUZELSKIEGO

w Warszawie

SKARGA

Szanowny Panie Premierze,

Poczucie bezpieczeństwa jest konieczne do życia. Moje poczucie bezpieczeństwa, oraz zaufanie do praworządności, Państwa i Społeczeństwa jest całkowicie zrujnowane. Swoją gehennę przeżyłem tylko dzięki temu, że miałem w sobie dosyć wiary, jestem człowiekiem walki i optymistą, dlatego też piszę jeszcze jedną skargę, w nowych już warunkach politycznych i geograficznych (piszę do Pana z zagranicy), mając nadzieję, że zarządzi Pan wyjaśnienie mojej sprawy, co umożliwi mi odzyskanie zaufania i pozwoli powrócić mi do domu, rodziny i pracy.

Przez prawie 30 lat byłem szantażowany, a ponieważ bez przerwy stawiałem opór i broniłem się szantaż przejawiał się w zbrodniczych i nieludzkich sposobach i metodach. Tak więc w trakcie tego programu kryminalno – politycznej dyskryminacji siedziałem bezprawnie parę lat w więzieniu, pozbawiony obrony, przeprowadziłem wiele głódówek więziennych, a jedną trwającą bez przerwy 364 dni. Byłem wielokrotnie pobity i kopany, raz do utraty przytomności, byłem torturowany mechanicznie, położony i przykuty na specjalnym stole i rozciągany w stawach mechanicznym urządzeniem.

Kilkakrotnie usiłowano mnie zamordować wyrafinowanymi metodami: 1) podano mi w więzieniu truciznę, 2) usiłowano różnego rodzaju gwałtami i groźbami wyłudzić samobójstwo, 3) przygotowywano fałszywy proces szpiegowski przeciw mnie. Gdy dzięki szczęściu i mojemu oporowi te drogi likwidacji zawiodły zlikwidowano mnie pod względem prawnym, zastraszeniem i trucizną wywoływano lęki symulujące chorobę psychiczną i zmuszające do szukania pomocy w szpitalach psychiatrycznych. Wydano

falszywą diagnozę stwierdzającą paranoję, oraz fałszywą opinię biegłych lekarzy sądowych stwierdzającą całkowitą moją nieodpowiedzialność. Ubezłasnowolniono mnie całkowicie i na zawsze. Wreszcie w maju 1980 roku usiłowano mnie zamordować w szpitalu zabiegiem chirurgicznym i w ten sposób zgodnie z zapowiedzią zakończyć program szantażu i prowokacji.

Zasadniczym celem szantażystów było wyłudzenie majątku, ale na pewno mieli też swe cele polityczne. Zнали mnie i wiedzieli, że jestem stosunkowo bogatym człowiekiem. Cała robota była pięknie zaplanowana na szereg lat z przewidywaniem kilku możliwości rozwoju.

Zorganizowana grupa kryminalna działająca w łonie aparatu wymiaru sprawiedliwości wykorzystywała na pewno polityczne porozumienie bez słów sugerując np.: to jest wróg klasowy, lub to jest szpieg, czyli trzeba go wykończyć. W ten sposób powołując się na politykę i ideę dokonywali wyłudzeń wielkich kwot pieniężnych.

Gdybym ja, tak jak wiele innych ofiar cicho zgodził się płacić, kosztowałyby to mnie o wiele więcej pieniędzy, ale nie poniósłbym tak olbrzymich strat na zdrowiu i trwałoby to o wszystko wiele krócej. Niestety od początku stawiałem opór, nie chciałem robić tego co żądali, nie chciałem płacić tyle ile żądali, więc gangsterzy w togach uruchamiali coraz to brutalniejsze środki, a gdy poczuli się zagrożeni, zaplanowali całkowicie mnie zlikwidować.

Na temat poszczególnych przestępstw przeciwko mnie napisałem wiele skarg do różnych instancji, ale żadna ze skarg nie została uwzględniona, gdyż ludzie na stanowiskach, którzy popełniali przestępstwa i zbrodnie przeciwko mnie byli nietykalni, chronieni przez prawo klasowe, a ja byłem rzekomym wrogiem klasowym i szpiegiem. Nierówność prawa klasowego oficjalnie deklarowana umożliwia nadużycia i zbrodnie. Puszczając famę i fabrykując poszlaki, że Kowalczyk jest szpiegiem, a później, że jest chory psychicznie, szantażyści zapewnili sobie bezkarność dla swych pospolitych przestępstw zmierzających do wyłudzenia majątku.

A OTO FAKTY: (w miarę możliwości skrócona historia):

W 1952 r. poszedłem do państwowego sklepu jubilerskiego chcąc sprzedać zegarek i dwie bransoletki. Kierownik sklepu obiecał to kupić, ale następnego dnia o wyznaczonej godzinie. Gdy przyszedłem umówionego dnia kierownik odmówił dokonania zakupu, a gdy wyszedłem ze sklepu podeszło do mnie dwóch cywilnych agentów milicji, zaprowadzili mnie do samochodu, a następnie wywieźli do komisariatu rzecznego, gdzie trzymali całą noc, a nad ranem pod groźbą osadzenia w więzieniu za spekulację, podpisałem im zobowiązanie do współpracy.

W ten sposób poznałem Stanisława Gałązkę, pracownika Stołecznej Komendy MO i MSW. Przez 2 miesiące spotykaliśmy się co dwa, trzy dni, on wyciągał ode mnie wszelkie możliwe informacje, posyłał na przespiegi i

uczył życia. Ale ja nie chciałem być kapusiem! Sam przecież będąc w AK w 1944 r. na ul. Miedzianej własnoręcznie zastrzeliłem dzielnicowego kapusia. Przez cały czas współpracy miałem straszne wyrzuty sumienia, kłóciłem się z Gałązką i szukałem drogi uwolnienia się od niego. Wreszcie dowiedziałem się o adres dobrego adwokata Jana Palatyńskiego, poszedłem do niego, a on poradził mi ucieczkę jak najdalej. Uciekłem i pół roku przebywałem w Sudetach, a gdy wróciłem Stanisław Gałązka dowiedział się o tym, zadzwonił do mnie, spotkał się i stwierdził fakt, że ja rzeczywiście nie nadaję się do tej roboty i wziął ode mnie pisemną prośbę o zwolnienie z obowiązku współpracy ze względu na zły stan zdrowia - jestem inwalidą wojennym i chorowałem wtedy na gruźlicę i epilepsję pourazową. W ten sposób zostałem zwolniony oficjalnie, ale Gałązka nadal co jakiś czas dzwonił do mnie, spotykał się, rozmawiał o pogodzie i interesach, pożyczał pieniądze, lub sam mu je dawałem.

W 1961 r. Gałązka poprosił mnie o spotkanie i w półgodzinnej rozmowie oświadczył mi, że więcej spotykać się ze mną nie będzie, bo za parę lat będę aresztowany na dłuższy czas, że na obrońcę mam sobie wziąć adwokata Palatyńskiego., że z tej sprawy tak czy owak już nigdy nie „wyleżę”, że pod koniec aresztowania podadzą mi truciznę, tzn. gdy ktoś tam w więzieniu zwróci się do mnie i powie, że choruje na gardło, dostaje jako lekarstwo atropinę i zaproponuje mi, że może mi ją dać, to powinienem wziąć tę atropinę i połknąć, bo tak będzie dla mnie najlepiej. Atropina bardzo ciekawie zatruwa, da doskonałe rezultaty w sprawie, a ostatecznie nie zaszkodzi mi. Natomiast jeśli nie przyjmę atropiny, to następnie będzie coraz gorsza dla mnie sytuacja, trucizna w herbacie, podejrzenie gardła, wymuszenie samobójstwa, lub wreszcie porwanie i zamordowanie. Tak więc jeśli nie wezmę atropiny podadzą mi truciznę w herbacie. Trucizny nie podadzą mi po to, aby mnie zgładzić, lecz w innym celu, ostatecznie uratują mnie, wywiozą szybko z więzienia i ewentualnie mogą stracić tylko oko. Zapytał mnie, które oko mam lepsze, a które gorsze? To bardzo ważne, aby się nie pomylić. Odpowiedziałem, że lewe oko mam dużo gorsze.

„Herbatę wypij, jeśli nie wypijesz atropiny, bo to będzie Twoja ostatnia deska ratunku, a jak wypijesz popatrz na lewe oko, na białku wyskoczy Ci czarna plama i będziesz miał jak gdyby drugą źrenicę. Będą mieli swego przygotowanego lekarza i uratują cię w ostatniej chwili, a jeśli nic z tego nie wyjdzie to przetrzną ci po prostu brzytwą tętnicę na gardle i znów będą cię ratować, szyc ci to gardło, ale wtedy to już jest bardzo, bardzo ryzykowna sprawa, wątpię czy zdążą i będzie koniec z tobą. Jeśli przetrzątnięcie gardła znów się nie uda, to tak cię zmaltrretują, że sam się powieszysz, albo przyślą ci spoza więzienia do wyboru wszystkie środki do popełnienia samobójstwa. Co będziesz chciał to sobie weźmiesz: brzytwę, truciznę, pistolet, strychezek, co będziesz chciał.

„Armatę też mi przyniosą, - spytałem – chyba żartujesz, kto mi to przyniesie, kto może przynieść do więzienia pistolet i dać go więźniowi?”

„No, a kto ma wolny wstęp do więzienia i może wszystko przynieść?” – spytał mnie Stasiak.

„Adwokat?”

„No właśnie, adwokat ci przyniesie, wszystko co będziesz chciał, abyś tylko skorzystał z tego”

Ja znów zacząłem protestować, że się na nic nie zgadzam i prosić go, by mi dał spokój i w ogóle co to jest, o co tu chodzi? G. śmiał się ze mnie, stwierdził, że sprawa została zaprojektowana przez najlepszych speców w K.C. partii, i że będzie wykonywana przez M. S. W., że ja nie muszę się zgadzać, czy nie zgadzać, bo nie mam nic do gadania i do wszystkiego zostanę doprowadzony, podprowadzony, zmuszony odpowiednimi środkami.

„No dobrze, mówisz, że to jest ważne, abym wziął na obrońcę adw. P., jak oni mnie mogą zmusić, abym to zrobił?”

„Ewentualnie weźmiesz jego współnika W., ewentualnie podprowadzą do tego twoją rodzinę, a jak weźmiesz innego, zrobią u niego rewizję w mieszkaniu i będzie musiał zrezygnować. Teraz tak, pamiętaj, bo to też ważne dla ciebie przede wszystkim. Jak powiesz kiedykolwiek, komukolwiek, chociaż jeden jedyny raz, kto podał ci w więzieniu truciznę zostaniesz zamordowany”.

„Nie wygłupiaj się Stasiak, co ty mi opowiadasz, co to jest, jak mnie zamordują, będą strzelać do mnie?”

A on na to: „Nie będą strzelać, nie martw się, skąd ja mogę wiedzieć jak cię zamordują za dziesięć, piętnaście, czy dwadzieścia lat, nie będą strzelać na pewno. U nas się nie strzela, ale jest wiele innych sposobów np. hemoroidy ci będą badać i załatwią cię, to jest sprawa polityczna, politycznie jakoś cię załatwią. Pamiętaj, zamordują cię, jeśli powiesz komuś chociaż raz, kto ci podał truciznę. A propos tych hemoroidów, to żebyś mnie czasem nie wysypał, że ja ci to powiedziałem, bo dopiero by mi dali. Ale ty tego nigdy nie przeżyjesz przecież, to nie możliwe, a jeśli nawet przeżyjesz, będziesz siedział w Tworkach i nigdy z Tworek nie wyjdiesz. Jeśli nic nie wyjdzie z zatrucia i nic nie wyjdzie z gardła, i nic nie wyjdzie z samobójstwa to wywiozą cię z Mokotowa na żądanie sądu, sąd na pewno będzie tego żądał i wywiozą cię na Białolęgę, a tam, któregoś dnia wieczorem zgasną wszystkie światła na całej dzielnicy, agregat będzie zepsuty i jak się zacznie tumult, gwałt, krzyk, ciebie po cichu porwą spod celi i znikniesz na zawsze. A jak to nie wyjdzie, porwą cię karetką pogotowia, gdy będziesz wychodził z więzienia. Cześć nie zobaczysz mnie już nigdy.”

„Słuchaj Stasiak, kiedy to się wszystko stanie?”

„O nie prędko, nie martw się, zasadniczo powinno być minimum dziesięć lat po naszej rozmowie, będzie na pewno wcześniej, ale nikt mi tego nie udowodni, nawet gdyby była jakaś afera. Zresztą dokładnie nie wiem. Cześć, nigdy z tego nie wyjdiesz, nie zobaczysz mnie nigdy”.

A jednak przeżyłem. Człowiek jest niesamowicie silny w razie potrzeby. Stanisława Gałązkę widziałem dwa lata temu przypadkiem na ulicy, gdy mnie zobaczył natychmiast uciekł.

To, co Gałązka powiedział mi wtedy było wszystko jak z bajki, lub złego snu, ja się nie zgadzałem na to, nie przyjąłem tego do wiadomości, nawet nie przemyślałem tego. To była tak straszna wróżba, że po prostu odrzuciłem to od siebie i zapomniałem. Zająłem się pracą, interesami, życiem i o zapowiedzianym za dziesięć lat nieszczęściu nie myślałem.

G. zapowiadając mi zbrodnię popełniał czyn przestępczy, brał udział w tej zbrodni i zdawał sobie sprawę z tego, uważał, że on tylko przekazuje sprawę i za dziesięć lat jego czyn będzie przedawniony. Ja twierdzę, że Gałązka uczestniczył w zbrodni ciągłej trwającej do 1980 roku i żaden z czynów tej afery nie jest przedawniony, tym bardziej, że wg mnie afera taka jest zbrodnią przeciw całemu społeczeństwu i przeciw ludzkości, a zbrodnie takie nie ulegają w ogóle przedawnieniu.

Mniej więcej w tym samym czasie, może dwa trzy miesiące po zapowiedzi Gałązki przyszła do mnie Teresa Giercz Michalska, znajoma, o której wiedziałem z jej własnych ust, że jest agentką MSZ i również agentką Pałacu Mostowskich. Poznałem ją w sklepie spożywczym z jej inicjatywy, ale niby przypadkowo, jakieś trzy lata wcześniej. Przez jakiś czas przyjaźniliśmy się do chwili, gdy zwierzyła mi się, że na sprawie sądowej o szpiegostwo oskarżała fałszywie swego męża M., który zarobił w ten sposób siedem lat więzienia. Po odsiedzeniu wyroku M. podobno wyemigrował. Kiedy spytałem ją, jak mogła tak postąpić, odpowiedziała, że są sytuacje, kiedy człowiek musi wszystko zrobić. Przestraszyłem się takiej znajomości i starałem się trzymać od niej jak najdalej, ale co jakiś czas byłem zmuszony z nią rozmawiać. Dawałem lub „pożyczałem” jej również pieniądze. Przyszła do mnie wtedy do mieszkania i wyłożyła mi następującą mowę: „słuchaj Jurek, jak kiedyś w przyszłości znajdziesz się w ciężkiej sytuacji i usłyszysz, że ktoś zwraca się do ciebie ze stwierdzeniem, że przyjechał z Wiednia i przywiózł pumperniel, odpowiedz mu, że ten pumperniel produkują koło ciebie, koło K., w Węgrowie, czy w Siedlcach, a jak tak im odpowiesz, to ci ludzie pomogą ci wyleźć z tarapatów.”

Spytałem ją: „Nelka, (po imieniu kazała nazywać się Nel), o czym Ty mówisz, o co tu chodzi?”

„Nie mogę ci dokładnie wyjaśnić, spieszę się bardzo, ale pamiętaj dla własnego dobra, jak się tak zdarzy, że w przyszłości kiedyś będziesz w ciężkiej sytuacji i usłyszysz, że ktoś mówi, że przyjechał z Wiednia i

przywiózł pumpernikiel, pamiętaj, odpowiedz, że pumpernikiel produkują gdzieś koło ciebie, pamiętaj! kiedy tak odpowiesz, ci ludzie bardzo ci pomogą.”

I pożegnała się i poszła. Nie widziałem jej wiele lat.

W październiku 1964 r. zorientowałem się, że jestem bardzo silnie inwigilowany. Jednocześnie zadzwonił do mnie adwokat Stefan W. I gdy zjawiłem się u niego przekazał mi informację, że mam być niedługo aresztowany i zaoferował mi swe usługi adwokackie. Odmówiłem mu, natomiast dałem pełnomocnictwo do obrony adwokatowi S.

Mniej więcej w tym samym czasie zaprosiła mnie do siebie znajoma o imieniu Wanda, (nazwiska zapomniałem) i powiedziała mi, że ma kogoś znajomego w Prokuraturze (widziałem ją z prok. P. w kawiarni Europejskiej) i jeśli będę chciał to ona dużo mi pomoże w czasie gdy będę siedział w więzieniu. Chciała, abym ją skontaktował z moim ojcem, aby mogła z nim „załatwić sprawę”. Poradziła mi, abym wszystko schował co się da, bo wszystko co znajdą to mi zabiorą. Ja wysłuchałem jej, odmówiłem współpracy i zapoznania jej z ojcem. Gdy zostałem aresztowany Wanda znalazła drogę do mego ojca i wyciągnęła od niego 150 tysięcy złotych, które musiałem oczywiście ojcu później zwrócić.

20 października 1964 roku zostałem aresztowany pod zarzutem zagarnięcia mienia społecznego powyżej miliona złotych, za co groziło mi minimum 10 lat więzienia, a najwyższy wymiar kary był karą śmierci. Drugim zarzutem był obrót wartościami dewizowymi w obrocie z zagranicą (wywóz dewiz) i groziła mi kara również 10 lat więzienia. Aresztował i przedstawił mi zarzuty prok. P. Czyniąc to poradził mi, abym na obrońcę zaangażował adwokata Pałatyńskiego, lub jego współnika Wurcla. Gdy powiedziałem mu, że mam już obrońcę adwokata S. był bardzo niezadowolony i powiedział, abym się jeszcze zastanowił.

Od pierwszej chwili aresztowania odmówiłem przyjmowania pokarmów, czyli zastosowałem strajk głodowy. Jedenastego dnia głodówki znalazłem się w więzieniu na Mokotowie, na ul. Rakowieckiej. Następnego dnia weszło do celi czterech oddziałowych, chwycili mnie za ręce i nogi, zrzucili z łóżka na podłogę, bili i kopali, aż straciłem przytomność. Obudziłem się trzymany na krześle z rurką gumową wpuszczoną przez nos do żołądka, lekarz nalewając mi ciepły napój dał znać dozorcóm i jeden z nich znów dołożył mi pięścią w ciemię, tak, że znów straciłem przytomność. Od tego dnia codziennie byłem karmiony sztucznie przez lekarza przez 364 dni. 31 grudnia 64r. usiłowałem się powiesić na długiej elastycznej skarpecie, ale ciało po szarpaninie urwało się ze stryczka, a właściwie chyba pętla rozwiązała się pod ciężarem.

W początkach stycznia umieszczono mnie w celi piwnicznej z oknem skierowanym na północny wschód i wszystkimi szybami wybitymi. Leżałem

w bieliźnie przykryty dwoma cienkimi derkami, póki grzały kaloryfery można było jakoś wytrzymać nawet przy mocnych, zimnych wiatrach. Tragedia zaczęła się 10 kwietnia gdy wygasło ogrzewanie. Od tego dnia bez przerwy trząsałem się jak osika z zimna, a przy każdym oddechu widziałem wydychaną parę. 1 maja w dniu robotniczego święta przerznięłem sobie odłamkiem szkła z okna wszystkie widoczne żyły na rękach i nogach, zalałem krwią całą celę i krwią napisałem skargę do Prokuratury Generalnej. Sanitariuszka, młoda kobieta przy kości, dobrze odżywiona i ciepło ubrana w swetrze, przez 15 minut mnie opatrywała i zaczęła narzekać: „Boże, jak tu zimno”, a ja głodówkarz, ubrany tylko w bawełnianą koszulę leżałem tam 4 miesiące.

W kilka dni po napisaniu krwawej skargi przysłała jakaś komisja, nie weszli do celi, tylko z korytarza zadali mi jedno pytanie. „Dlaczego głoduję?” Odpowiedziałem coś w tym rodzaju, że wiara nakazuje mi głodówką odpowiadać na gwałt i zbrodnię, nie spytali jaka wiara i o jaką zbrodnię chodzi, nie obejrzeni wybitych szyb, (parę godzin wcześniej oddziały wyjął z okna resztki odłamków szyb, aby nie było widać, że są wybite) i poszli.

Następnego dnia zostałem wywieziony do więziennego szpitala psychiatrycznego w Grodzisku Mazowieckim. Tam głodówki nie przerwałem, a po trzech i pół miesiącach pobytu dr Różycki, dyrektor tego szpitala zaaplikował mi insulinę dożylnie. Po trzech dobach nieprzytomności i konwulsji obudziłem się zupełnie słaby i bezwolny. Lekarka nakarmiła mnie herbatnikami i herbatą, a następnego dnia sadzali mnie do wszystkich posiłków do ogólnego stołu i karmili łyżeczką. Jednak już przy kolacji stawiałem opór i na pewno z tego powodu następnego dnia wywieźli mnie z powrotem do więzienia na Mokotowie ze sfalszowanym stwierdzeniem, że przerwałem głodówkę. W więzieniu oczywiście nie jadłem nadal i nadal karmili mnie sztucznie wg oficjalnej recepty: litr mleka, jedno jajko, 3 dkg. masła i 3 dkg. cukru. Dwukrotnie w początkowej fazie głodówki miałem po karmieniu straszliwe rozwolnienie co na pewno było spowodowane odpowiednimi dodatkami do oficjalnej recepty. W sumie głodówka trwała 364 dni i jednocześnie 364 dni trwała zażarta walka psychiczna pomiędzy mną, a personelem i władzami „sprawiedliwości”. Ja walczyłem o zachowanie swojej godności, oni całym szeregiem najróżniejszych machinacji i brutalnych ekscesów usiłowali złamać mnie i sponiewierać. Etatowy, ówczesny lekarz więzienny (nazwiska zapomniałem) bardzo mi dokuczał.

Gdy z Sądu Wojewódzkiego otrzymałem zawiadomienie, że akt oskarżenia wpłynął do Sądu, poprosiłem Sąd o szybkie wyznaczenie terminu rozprawy. Termin otrzymałem natychmiast i przerwałem głodówkę.

W międzyczasie przebywając jeszcze w Grodzisku Mazowieckim dowiedziałem się od ojca, że prokurator Kazimierz Pawelec, zastępca szefa prokuratury, zarządził rewizję mieszkaniową w „poszukiwaniu mojego testamentu” u adwokata Sowińskiego, który w takiej sytuacji musiał zrezygnować z obrony. Ojciec już wcześniej przekazywał mi propozycję adw. W., abym wziął go jako adwokata posiłkowego wspólnie z adw. Sowińskiego, a gdy nie zgodziłem się, przeprowadzili tę rewizję i zostałem bez obrońcy. W takiej sytuacji pozostawiłem ojcu wolną rękę tzn. zgodziłem się na adw. Wurcla, ale poprosiłem siostrę, aby zaangażowała jednocześnie adw. de Virion. Przeglądając akta stwierdziłem, że jedynym dowodem na poparcie oskarżenia o zagarnięcie mienia społecznego jest opinia biegłych księgowych, rozliczająca moją działalność rzemieślniczo – produkcyjną. Sąd zapłacił biegłym (oczywiście na mój rachunek) około 50tys zł za wykonanie tej opinii. Opinia pisana była w czasie mego aresztu tzn. prokurator nie dysponował żadnym dowodem w chwili aresztowania i stawiania zarzutu – prokurator najpierw postawił zarzut, a później fabrykował dowody. Na jednej z pięćdziesięciu stron opinii znalazłem w wyliczeniach błędy w mnożeniu i dodawaniu na kwotę 1.400.000 zł na moją niekorzyść. Gdy pokazałem to adwokatom bardzo mnie prosili, abym to ja zgłosił Sądowi te „pomyłki” na rozprawie, bo im nie jest wygodnie to zrobić. Po prostu bali się, aby prokurator nie posądził ich czasem, że to oni ośmielili się znaleźć te błędy.

Na poparcie drugiego punktu aktu oskarżenia o obrót wartościami dewizowymi w obrocie z zagranicą prokurator nie przedstawił też, ani żadnego świadka, ani nie ustalił przedmiotu zarzuconego czynu. Przedmiotem czynu występku dewizowego ustalone były towary, surowce odebrane przeze mnie z Urzędu Celnego, a towary nie są przecież wartością dewizową. Nie było żadnego świadka, ani dowodu, abym kupił, czy sprzedał, czy wysłał zagranicę jakiegokolwiek wartości dewizowe, a takie właśnie dowody, tacy świadkowie powinni być ustaleniu w akcie oskarżenia. Akt oskarżenia nie ustalał żadnych poszkodowanych, odwrotnie ustalił, że skrupulatnie płaciłem wszystkie obowiązujące mnie opłaty celne i wszystkie wysokie podatki w łącznej wysokości około 5.000.000zł za ogólny obrót 7.200.000zł. Akt oskarżenia zarzucał mi zagarnięcie poprzez tzw. „zawyżenie” ceny na produkowany wkład do długopisu, ale cena ustalana była przez Komisję Cen dla całej Polski i w chwili przewodu sądowego obowiązywała nadal innych producentów.

Gdy na rozprawie sądowej po ujawnieniu błędów w mnożeniu i dodawaniu, sąd spytał biegłych księgowych jak to się mogło stać, jeden z nich odpowiedział po prostu, że prokurator tak kazał im zrobić. Mimo takiego nadużycia biegli ci nie zostali skreśleni z listy biegłych sądowych i jeszcze

wiele lat świadczyli swe usługi fałszywych świadków za pieniądze oskarżonych.

Wobec zgłoszenia przeze mnie zarzutu błędów w opinii, Sąd odroczył na dwa tygodnie rozprawę, aby dać czas biegłym na ustosunkowanie się i przed zakończeniem sesji spytał czy są jeszcze inne wnioski? Żaden z moich wielkich obrońców nie zdobył się na wniosek o zwolnienie mnie na wolną stopę, chociaż sprawa była już jasna i Sąd niewątpliwie na taki wniosek czekał. Ja nie zorientowałem się w sytuacji i też nie zawnioskowałem zwolnienia.

Na następnej rozprawie Sąd Wojewódzki w Warszawie uniewinnił mnie z zarzutu zagarnięcia mienia społecznego, oraz zmienił kwalifikację prawną zarzutu dewizowego i skazał mnie na 13 miesięcy aresztu tzn. na tyle ile przesiedziałem, za dysponowanie mieniem posiadanym zagranicą, mimo, że dysponowanie w kierunku kraju mieniem posiadanym zagranicą jest wg u.k.s. zwolnione od kary.

Wg. mnie akt oskarżenia prokuratorów Paczyńskiego i Pawelca, w którym nie ustalono przedmiotów zarzucanych czynów, ani żadnego świadka zarzucanych czynów oraz nie ustalono poszkodowanych, był sprzeczny z k.p.k., czyli nie miał kwalifikacji prawnej i Sąd Wojewódzki. nie miał prawa przyjąć go na wokandę.

Prokurator Pawelec, szef prok. Pawelca popełnił bezcelne przestępstwo wydając nakaz rewizji mieszkaniowej u wybranego przeze mnie obrońcy adw. Sowińskiego. Pozbawił mnie w ten sposób obrońcy i resztek zaufania również na cały dalszy ciąg sprawy i do całego systemu prawnego. Dał mi w ten sposób dowód, że nie jestem w rękach Sprawiedliwości, lecz w rękach gangu przestępczego.

Jeden z sędziów, którzy mnie wtedy sądzili, (nie pamiętam jego nazwiska, zamieszkały w Nowym Dworze) wziął po zakończeniu sprawy 50tys. zł. od mego szwagra Mieczysława D., które oczywiście zwróciłem.

Prokurator założył rewizję do Sądu Najwyższego. Ja też zleciłem adw. W. założenie rewizji i na jej koszt zgodnie z wymaganiem wpłaciłem mu następne 50 tys. zamiast 5 tys. wg cennika.

Na skutek aresztu i sprawy poniosłem olbrzymie straty materialne. Milicja zrobiła w dniu aresztu kilkanaście rewizji mieszkaniowych i magazynowych u mnie i u wszystkich członków mojej dużej rodziny w Kałuszynie, Mińsku, Warszawie, Błoniu i w Sopocie. Zabrano wszystkie moje pieniądze, towary, wartościowe przedmioty, należności u klientów i w spółdzielni. Akcja brutalnych rewizji u członków rodziny wywołała głęboki psychiczny uraz i zastraszyła wszystkich.

Prokuratorzy Pawelec i Paczyński stawiając mi bezzasadny zarzut grożący karą śmierci wywołali u mnie głęboki szok psychiczny, który był przyczyną długotrwałego, straszliwie wyniszczającego organizm strajku głodowego. Za

takie nadużycie władzy powinni byli być ukarani, tymczasem awansowali. Szef Prokuratury Wojewódzkiej, prokurator Ostaś aprobował ich poczynania, a gdy przyszedł do mnie na skutek skargi na lekarza więziennego, stać go było tylko na groźby wobec mnie. Myślę, że na pewno był doskonale we wszystkim zorientowany.

Odpoząłem trochę po więzieniu i wiosną 1966 na nowo otworzyłem w Kałuszynie warsztat produkujący wkłady do długopisów. Część potrzebnych mi surowców nie produkowanych w Polsce zamówiłem tak jak w poprzednim okresie w Londynie u swego dłużnika, który był mi winien starą należność z czasów mego powojennego pobytu na Zachodzie. Pozostawiłem tam wtedy pewne aktywa, a gdy w latach sześćdziesiątych zażądałem ich zwrotu, dłużnik zgodził się rozliczyć ze mną ale postawił warunek, abym należność odebrał w towarach. Obojętnie w jakich, ale w towarach. Takie załatwienie sprawy było na pewno korzystne dla niego, ale było również korzystne dla mnie i zgodziłem się na nie. W ten sposób byłem właścicielem masy towarowej zagranicą i nie łamiąc u.k.s. miałem prawo sprowadzać te towary do kraju. Takie było moje stanowisko, i po wyjściu z więzienia wobec toczącej się nadal sprawy sądowej zwróciłem się pisemnie do Ministerstwa Finansów o opinię na ten temat i otrzymałem opinię zgodną z moim stanowiskiem, że żadnego występku nie popełniam sprowadzając te towary od swego dłużnika. Skarb Państwa nieźle zresztą na tym zarabiał, bo np. 1 końcówka do długopisu kosztowała w oficjalnym przeliczeniu 5 groszy, a cło kosztowało 30 groszy. Poza tym płaciłem wszystkie wymagane podatki, a przede wszystkim obrotowy i dochodowy.

Pod koniec roku 1966 zapadł wyrok Sądu Najwyższego, który uwzględnił rewizję prokuratora Pawelca i zmienił wyrok Sądu Wojewódzkiego kwalifikując odbiór tych towarów z zagranicy jako występku dewizowy z art. 49 u.k.s., czyli obrót wartościami dewizowymi w obrocie z zagranicą i skazał mnie na 3 lata więzienia i dużą grzywnę.

Było to jawne naruszenie prawa, gdyż towary nie będące wartościami dewizowymi legalnie odebrane przeze mnie z Urzędu Celnego, za które zapłaciłem wysokie cło zostały ustalone jako przedmiot występku dewizowego, czyli inaczej mówiąc złotówki wpłacone przeze mnie Skarbowi Państwa jako opłaty celne, ustalono jako przedmiot występku. Poza tym wyrok nie wskazywał żadnego świadka rzekomego występku, a wg obowiązującej interpretacji powinien ustalać świadka przekazywania dewiz z kraju zagranicę.

W lutym 67 r. zostałem ponownie aresztowany i osadzony na Mokotowie: 1) w celu wykonania kary wyroku Sądu Najwyższego, 2) prokuratura postawiła mi nowy, taki sam zarzut dewizowy za okres 66 roku, w którym znów sprowadziłem z zagranicy trochę towarów do produkcji swego warsztatu.

Prokurator Kłosiński, który mnie aresztował, oświadczył mi wręcz, bym był grzeczny, bo występki dewizowy, o który mnie oskarża to fraszka wobec tego co mnie czeka, gdyż łatwo mogę być oskarżony o szpiegostwo. Pokazał mi zatrzymaną na poczcie moją korespondencję z zagranicą, oraz fotokopie tej korespondencji i wystąpił z tezą, że wysyłałem dokumenty (np. wyrok Sądu Najwyższego w mojej sprawie) do państw ościennych.

Prokurator Kłosiński przestraszył mnie nie na żarty, ale na głódówkę nie było mnie już stać i postanowiłem siedzieć spokojnie i normalnie. Później, gdy sprawa bardzo się przedłużała, przeprowadziłem kilka krótkich, trzy, czterotygodniowych głódówek protestacyjnych.

Najpierw zaangażowałem na obrońcę adw. Nowakowskiego, gdy po wielu miesiącach sprawy nic nie mógł zdziałać, zrezygnował. Później prowadził sprawę bardzo długo adw. Łojewski, ale w pewnej chwili poradził mi w tajemnicy, abym zaangażował adw. Palatyńskiego. Miałem też takie sugestie ze strony rodziny. Wysłałem pełnomocnictwo adw. Palatyńskiemu, a adw. Łojewski oddając akta stwierdził, że bardzo dobrze zrobiłem, bo teraz już wszystko pójdzie gładko. Jednak pospieszył się z dobrą wróżbą. Adw. Palatyński rzekomo z powodu choroby nie stawiał się na pierwszą sesję, ja bardzo ostro zwróciłem mu uwagę, a on się szybko obraził i wycofał ze sprawy.

Postanowiłem, że będę się bronił sam, bez adwokata, do czego w Sądzie Powiatowym miałem prawo. Niestety, Sąd zarządził inaczej i wyznaczył mi adwokata z urzędu Janusza Ramosa. Adwokat potrzebny był nie mnie, lecz sądowni i prokuratorowi, aby mogli nie odpowiadać na moje wnioski i obiekcje prawne i prowadzić sprawę tak jak im było wygodnie, a nie tak jak powinni zgodnie z prawem i jak to było w moim interesie.

Wszyscy adwokaci występujący w obu sprawach, można powiedzieć, że była to śmietanka adwokatury warszawskiej, zawiedli mnie całkowicie. Nie byli wcale moimi obrońcami, a tylko kamuflowali obronę i brali pieniądze ile się dało. Fakt, że w sprawie nie mogą mi pomóc, tłumaczyli odgórnym nastawieniem i po cichu powtarzali groźby prokuratora, że powinienem być zadowolony z błędnego zarzutu dewizowego, bo „oni” szukają więcej materiałów i chcą przedłożyć mi zarzut szpiegostwa. Żona powiedziała mi też na widzeniu, że nasz znajomy p. Matuszkiewicz otrzymał informację, jakoby władze wysłały specjalnego człowieka do N.R.F., aby ustalił, czy Kowalczyk jest szpiegiem, i że człowiek ten wrócił z negatywną opinią.

Widać z tego, że organizacja zastraszenia i szantażu działała znakomicie. Fakt, że adwokaci biorą dużo więcej pieniędzy niż im się należy wg cenników, tłumaczyli nierentownością cen oficjalnych. Niskie ustalenie cen oficjalnych powodowało, że każdy z nich żądał ile się dało, a to z kolei znaczyło, że adwokaci zamiast być na usługach klienta i być uczciwymi obrońcami, musieli być na usługach prokuratorów, milicji, sądów i grup

przestępczych działających wśród urzędników praworządności. Gdy zorientowałem się w tym problemie, że korupcja panująca wśród adwokatów powoduje całkowity rozkład obrony, napisałem z więzienia kilka skarg. Przede wszystkim zdenerwował mnie adw. Janusz R., adwokat z urzędu, który nie miał prawa brać od nas ani grosza, nic nie działał i brał na dodatek od żony duże pieniądze. Obliczam, że łącznie wyłudził od żony w czasie sprawy i później po moim uwolnieniu około 250-300 tysięcy złotych. Skargi pisane przeze mnie nie dały żadnego rezultatu poza zaostreniem atmosfery. Sprawa toczyła się bardzo wolno, raz na dwa lub trzy miesiące wozili mnie z Mokotowa do Sądu Powiatowego w Mińsku Mazowieckim, a tam sprawę znów odraczano. Zostałem aresztowany w lutym 67 r., a w sierpniu 69 r. głupia sprawa dewizowa nie była zakończona.

Wreszcie przewód sądowy został zamknięty i w początkach sierpnia 69 r. zawieszono mnie na finalną sesję Sądu. Prokurator K. wygłosił krótkie przemówienie i zażądał kary pięciu lat więzienia. Ponieważ dwa i pół roku już odsiedziałem można by powiedzieć, że wniosek prokuratora nie zabrzmiał groźnie, tym bardziej, że Sąd zdawał się czasami brać pod uwagę moje zastrzeżenia prawne i nie musiał, nie był zobowiązany w pełni spełnić wymogów prokuratora. Sąd Najwyższy, za dużo większy wartościowo zarzut, dał mi tylko 3 lata.

Byłem więc zadowolony, jeszcze tylko przemówienie adwokata i wreszcie będzie koniec, taki czy inny, ale koniec. Niestety gra nerwów zaplanowana była wyjątkowo ostro.

Sąd nie czuł się na siłach wysłuchania obrońcy i oznajmił, że jest zmęczony i zarządza przerwę. Dziwne, jeden oskarżony, krótka przemowa prokuratora, 15 minut sesji i Sąd już zmęczony. Po przerwie Sąd ogłosił tylko, że znów odracza rozprawę. Pojechałem do więzienia z powrotem całkowicie rozbity psychicznie. Ze strachem zadawałem sobie pytania: dlaczego, o co chodzi, co będzie dalej? Oto właśnie chodziło reżyserom sprawy, o stworzenie sytuacji szokującej, o maksymalne załamanie mnie nerwowo. Gdyby zapadł wyrok nigdy bym nie wypił podanej trucizny i sprawa skończyła by się już wtedy bez dalszych tragicznych następstw trwających do dnia dzisiejszego. Dwa dni później więzień, fryzjer oddziałowy przyszedł do mnie pod celę pod jakimś pretekstem i powiedział mi, że choruje na gardło i jako lekarstwo otrzymuje atropinę, ale gdybym ja tego chciał, to on mi przyniesie. Nie zorientowałem się początkowo o co chodzi i odmówiłem mu. Później uświadomiłem sobie w czym rzecz i następnego dnia zwróciłem się do fryzjera, aby przyniósł mi atropinę. Fryzjer odpowiedział na to, że sprawa jest już nie aktualna, że atropiny już nie ma.

Za dwa dni znów oddziałowy wpuścił do mnie fryzjera, a ten spytał czy chcę herbaty? Herbata w więzieniu nie była normalnie podawana, więc taka oferta była charakterystyczna i nastąpiła po ofercie atropiny. Od razu zrozumiałem

o co chodzi i wyraziłem zgodę na tę herbatę. Byłem kompletnie załamany i zastraszony. Chciałem, aby wreszcie się to wszystko skończyło, chciałem się też przekonać, czy mnie rzeczywiście otrują i czy odratują? Przypomniałem sobie, że Gałązka zapowiadał coraz straszniejsze rzeczy. Jeśli nie wyjdzie zatrucie atropiną, to gorsze będzie zatrucie herbatą, ale jeszcze gorsze podejrzenie gardła, czy wymuszenie samobójstwa, porwanie, czy inne ostateczne wykończenie.

Wieczorem fryzjer przyniósł pełny kubek herbaty i poszedł sobie. Śmierdziała słodkim zapachem migdałów. Wg zapowiedzi Staśka miała to być specjalna mieszanka trucizn, cyjanek miała dodany tylko dla zapachu w minimalnej ilości specjalnie spreparowanej przez najlepszych specjalistów. Dlaczego, po co? Postawiłem początkowo kubek ostrożnie na szafce, ale po chwili pomyślałem, że nie ma co się zastanawiać i zacząłem pić szybko, szybko, szybko, a następnie coraz wolniej, wolniej. Wypiłem pół kubka i odstawiłem. Kto wypija cały więzienny kubek trucizny, wiedząc, że to jest trucizna? Ci, którzy wlewali tę truciznę do kubka wiedzą, że nikt. Pół kubka powinno też wystarczyć. Przypomniałem sobie o oku, że na oku ma wyskoczyć plama. Na lewym, dużo słabszym oku. Przestraszyłem się, bo nie miałem lusterka. Ale pod celą miałem przecież towarzysza, anioła stróża, który spod oka wszystko bacznie obserwował. Miał i dał mi mały kawałek lusterka. Zajrzałem do lewego, później do prawego oka i nic nie znalazłem. Pomyślałem z nadzieją, że może to wszystko bujda, pochodziłem trochę zerkając na kubek i wypilem trochę herbaty.

Za drzwiami usłyszałem szmery, wizjerek się poruszył, zrozumiałem, że podglądają mnie cały czas. Zajrzałem znów do lusterka i z niedowierzaniem na białku lewego oka zobaczyłem mały czarny punkt wielkości łebka od szpilki. Miałem jeszcze nadzieję, że to pomyłka, że to nie to. Ze strachem obejrzałem prawe oko, ale było czyste, białe, tylko jakby przekrwione. Punkt na lewym oku powiększył się, patrzyłem na niego teraz cały czas i widziałem jak plamka rosła bez przerwy i czerniała, rosła i czerniała, i wkrótce, w ciągu około piętnastu minut miałem na lewym oku jakby drugą, czarną okrągłą źrenicę. W miarę jak plama rosła, ogarniało mnie coraz większe przerażenie. Na obu białkach ujawniła się wyraźna siatka czerwonych naczyń krwionośnych.

Gdy plama na lewym oku zrobiła się duża jak oko i zaczęła sięgać prawdziwej źrenicy pomyślałem sobie, że jak powiększy się jeszcze trochę i dotknie środka prawdziwej źrenicy nastąpi koniec.

W całym ciele czułem gorączkę. Położyłem się na łóżku i zacząłem symulować drgawki epilepsji. Współwięzień zaczął wołać lekarza i za chwilę weszła lekarka i oddziałowi. Lekarka obejrzała mnie sprawdziła puls i stwierdziła, że nic mi nie jest, ale że powinienem się czegoś napić, zaczęła szukać, znalazła garnczek ze śmierdzącą herbatą, przyniosła mi go i

usiłowała namówić, abym wypił więcej. Chciała wlać mi siłą, chciała jeszcze bardziej napoić mnie trucizną. Ale ja nie wpuściłem płynu do ust i lekarka wyszła mówiąc do oddziałowych: „nie chce wypić więcej herbaty, ale to nic nie szkodzi”. Ja cały czas nie odezwałem się ani słowem. Zjrzałem znów do oczu. Plama była jeszcze większa i czarniejsza, jakby wpadająca w fiolet. Miałem chyba dużą gorączkę, a w pewnej chwili chwyciło mnie jakby jakieś sztywnienie. Zacząłem szybko chodzić po celi. Chwyciłem kubek i wylałem do kibla resztę herbaty. Za drzwiami cały czas ktoś stał i podglądał.

Biegając po celi przyszła mi do głowy zbawienna myśl. Trucizna nie działa gwałtownie, żołądek i organizm nie wchłaniają jej szybkim tempem, ale na pewno jest tak obmyślana, że to co wypilem musi dać rezultat.

Przecież po to dali mi truciznę, aby mnie otruć, lub ciężko zatruć. Ale jeśli organizm nie przyswaja jej szybko powinienem się postarać wydaląc truciznę z trzewi. Początkowo pomyślałem, że powinienem zmusić się do rzygania, a następnie przypomniałem sobie, że mam witaminy: 50 sztuk witaminy C i 50 sztuk witaminy B, które od dawna leżą gdzieś w moich rzeczach, przysłane mi przez żonę. Odszukałem słoiki z witaminami, podszedłem do kranu i szybko gryząc i popijając wodą połknąłem wszystkie pastylki witamin. Rezultat był bardzo szybki i od tej chwili przez 2 lub 3 godziny siedziałem na kiblu, ciekło ze mnie ciurkiem, żołądek był całkowicie rozkojarzony, a współwziewień skarżył się wielokrotnie na ostry, niesamowicie dziwny smród, mimo otwartego okna.

Siedząc na kiblu wpatrywałem się w czarną plamę z zabobonnym strachem, druga źrenica na lewym białku jeszcze jakby się powiększyła. Później nie pamiętam, co się stało. Straciłem przytomność, ale chyba na krótko, obudziłem się na jakiejś leżance chyba na korytarzu, przypuszczam, że ktoś uderzył mnie w twarz. Słyszałem wiele głosów. Ktoś spytał:

„Co z nim zrobić?” drugi odpowiedział:

„Zanieść go z powrotem do celi.”

Później obudziłem się z drzemki raniutko o świcie, wyskoczyłem z łóżka, jak szalony wlałem w otwarte okno i krzyczałem strasznym głosem na cały Mokotów:

**OTRULI MNIE BANDYCI, ZBRODNIARZE, OTRULI MNIE,
OTRULI!!!**

Z drugiego piętra dziesiątego pawilonu głos niósł się daleko nad dachami.

„BANDYCI, ZBRODNIARZE, OTRULI MNIE”

Na podwórce więzienia wyskoczyło dwóch strażników szukając oczami skąd ten krzyk. Za chwilę wpadli do celi oddziałowi, wyciągnęli mnie z okna, zbili, stłukli i wyprowadzili do piwnicy.

Popołudniu przeprowadzili mnie na inny oddział na raport karny do naczelnika. Może nie było to tego samego dnia, chyba następnego, lub za

dwa dni. Na cichym, pustym korytarzu kazali czekać. Za chwilę innymi schodami nadszedł „mój” fryzjer. Mówiono o nim, że ma grubą sprawę (zabił kogoś, czy coś takiego) i grozi mu kara śmierci. Fryzjer błady nadszedł zatrzymał się koło mnie, powiedział coś, wahał się trochę i odszedł. Dziś dochodzę do wniosku, że wtedy właśnie było zaplanowane podejrzenie gardła, ale fryzjer się zliśił.

Zawołali mnie na raport. Naczelnik siedział przy biurku. Był to prowizoryczny naczelnik przysłany tylko na czas urlopu prawdziwego naczelnika więzienia (i chyba na czas „mojej akcji”). Na oddziale X pawilonu było też kilka nowych twarzy. Na raporcie oskarżyłem naczelnika, że wie bardzo dobrze co się stało, a gdy krzyknął na mnie, rzuciłem się z rozłożonymi palcami do jego oczu i co nieco nawet go dotknąłem zanim obecni oficerowie więzienni nie schwytali mnie. Znow zostałem pobity bardzo dotkliwie i odprowadzony do celi.

Wieczorem przeprowadzili mnie na inny oddział w najniższej części więzienia, kazali rozebrać się do naga i zaprowadzili do celi, w której nie było chyba nawet małego okna i nie było łóżka, tylko stał stół, a pod ścianą ławeczka. Kazali mi położyć się na stole, spięli metalowymi klamrami ręce i rozłożyli je w górę, zapięli metalowymi klamrami nogi w kostkach i zaczęli nakręcać mechanizm. Kółeczkiem, powolutku, słyszałem dźwięk obracających się trybów, jak nakręcanie dużego stojącego zegara. Łańcuchy ciągnęły ręce do góry, a nogi do dołu. Zacząłem krzyczeć. Jeden z klawiszów protestował:

„Daj już spokój, dosyć” – a drugi na to wesoło:

„Co ty, nie znasz się na tym” – i nakręcał dalej, nakręcał dalej. Naciągnął mnie tak, że wylem, straszliwie wylem jak dziki zwierz przez 5 czy 6 godzin.

Jakieś okienko było jednak gdzieś w jakimś załamaniu, bo gdy ciemność zamieniła się w mrok wszedł klawisz i zluzował napięcie. Przystałem wyć, przestałem krzyczeć, odpoczywałem.

Do celi weszło dwóch nowych przedstawicieli władzy, usiedli w mroku na ławeczce pod ścianą i jeden z nich spytał cichym głosem:

„Kowalczyk, zastanów się, powiedz kto podał ci truciznę?”

Byłem półprzytomny, otepiały z bólu, chory, rozbity całkowicie psychicznie, nie byłem zdolny do żadnego zastanawiania się, odpowiedziałem machinalnie prawdę:

„Fryzjer”

Ludzie w mundurach zerwali się jak oparzeni i poszli, a ja przypomniałem sobie zapowiedź Staśka:

„Jak powiesz chociaż raz, kto podał ci truciznę zostaniesz zamordowany”

Za godzinę rozwiązali mnie zupełnie i wyprowadzili do innej celi, również bardzo mrocznej, aby jak najmniej było widać moje czarne, sine nogi i ręce. Tam czekał jakiś lekarz, oglądał mnie protestował:

„Co wy sobie myślicie, takich rzeczy się dzisiaj nie robi, ja się nie zgadzam”

„Nic się nie stało, panie doktorze, wszystko jest w porządku” odpowiadał klawisz.

Odprowadzili mnie do mojej celi w pawilonie X, ale tam siostra stwierdziła, że jestem skierowany na chirurgię do szpitala, w szpitalu czekałem ze dwie godziny i wreszcie nie zostałem przyjęty, zaprowadzili mnie na jeszcze inny oddział.

Następne trzy tygodnie były bardzo ciężkie. Na lewe oko nic nie widziałem, plama na białku stopniowo malała i powoli bladła. Trzy dni nie oddawałem moczu, dopiero jakiś zastrzyk w nerkę mi pomógł. Oczywiście miałem nabiegłe krwią i przez wiele dni miałem gorączkę.

Personel wszystko wiedział: siostry, lekarze, oddziałowi. Napisałem skargę do Sadu, że zostałem zatruty, napisałem również do Prokuratury żądając dochodzenia, napisałem do Partii. Zamiast odpowiedzi zaprowadzili mnie do psychiatry. Dr M., którego znałem ze szpitala w Grodzisku Mazowieckim, porządny człowiek i wg mnie porządny lekarz, powiedział mi tylko:

„Siedź cicho, głowę zamknij na kłódkę i udawaj wariata, bo wykończą Cię do reszty.”

Inni lekarze i siostry, też ostrzegali mnie na każdym kroku.

Kawałkiem żyłki przetrząłem sobie brzuch bardzo głęboko, a gdy mnie zeszyli i trochę się zagoiło, przetrząłem się w innym miejscu. Na widzeniu żona mnie nie poznała, płacząc bez przerwy opowiedziałem jej wszystko. Złożyła skargę do Sądu, a sędzina Wróbel powiedziała jej, że jest podejrzenie, że zachorowałem psychicznie.

Przerzucali mnie wtedy bez przerwy z celi do celi i albo zamykali mnie z bandziorami, łobuzami, co było bardzo denerwujące, albo zamykali mnie w pojedynkę, w celach jakby przygotowanych dla samobójcy, np. w kącie leży sznur, a pod sufitem biegnie rurka centralnego ogrzewania, albo hak jest wbity po prostu. Nic tylko wejść na parapet okna, założyć stryczek i skoczyć.

Wtedy złożył mi wizytę adwokat Ramos, mój doskonały, wierny obrońca. Wiedząc, że jestem w ciężkich tarapatach nie złożył skargi i nie zażądał śledztwa, lecz chciał mi pomóc inaczej, radykalnie. W pokoju widzeń oznajmił mi pokazując na teczkę, że przyniósł mi wszelkie możliwe środki do popełnienia samobójstwa.

„Mam wszystko do wyboru, co Pan chce...” – powiedział pokazując dłonią po gardle.

A więc następny punkt zapowiedzi Staśka spełnił się. Szef mafii, Cezar, a właściwie pozujący na Cezara, zażądał ode mnie popełnienia samobójstwa i

... abym umarł godnie daje mi możliwość wyboru środków do tego. A adwokat, obrońca wszystko to przynosi do więzienia w teczce. Ale ja nie byłem rzymskim senatorem i nie miałem żadnych innych zobowiązań wobec tego „szefa”, byłem wtedy zaszczytnym zwierzęciem szukającym jakiejś drogi, by wrócić do życia. Czym bliżej byłem śmierci, tym zacieklej walczyłem o życie, a zwierzęcy instynkt mi w tym pomagał. Ledwo spojrzałem na teczkę i na spuszczone oczy adwokata i uciekłem z pokoju. Szkoda, że nie wziąłem pistoletu i nie zastrzeliłem go. Ciekawe co powiedzą fachowcy na temat tego epizodu szantażu, czy był to fachowy punkt programu? Wygląda na nieprawdopodobne, ale tak było. Wg mnie nie jest to wcale takie głupie. Jak się uda to bardzo dobrze, a jak nie, to i tak nikt w taką bajkę nie uwierzy i bajeczka będzie dowodem urojeń pacjenta. Około trzy tygodnie po zatruciu przewieziono mnie z więzienia na Mokotowie do więzienia na Białolece.

Plama na oku była już prawie zupełnie wyblakła, ale okiem tym nic nie widziałem nawet światła.

Na Białolece było wiele spokojniej i nawet zapowiedziane programem G. krytyczne momenty przeżyłem bez większych urazów. Pewnego wieczoru zgłosiło światło w całym więzieniu i okolicy. Zrobiła się cisza i ciemność. Za chwilę powinno zapalić się światło własne, więzienne, ale upłynęło wiele czasu, a światła nie było. Wtedy całe więzienie się rozszalało. Krzyki, wrzaski, zapalanie pochodni i wyrzucanie ich przez okna, wielki tumult, nawoływania z pawilonu do pawilonu. Światła nie było chyba ze dwie godziny, ale jakoś nie oszalałem ze strachu, że zaraz ktoś przyjdzie do celi i zabierze mnie w tą ciemność na zawsze. Nikt nie przyszedł.

Po około trzech tygodniach pobytu na Białolece zostałem zwolniony do domu. W ostatniej chwili tuż przed wyjściem, tzn. już w bramie, przynieśli talerz zupy, kazali mi zjeść i poszli. Inni zwalniani więźniowie zupy nie otrzymali. Długo zastanawiałem się, czy ją zjeść.

Akurat był w grupie jakiś doświadczony bywalec więzienny i odezwał się do mnie:

„No, bratku, musiałeś przejść najcięższe łamanie kołem, skoro Ci zupełnie dają przed wyjściem. Zjedz ją lepiej, bo jak jej nie zjesz, zawołają karetkę i wywiozą Cię stąd prosto do Tworek.”

Przypomniałem sobie, że Staszek Gałązka tak mnie właśnie straszył, że wywiozą mnie karetką, a po drodze gdzieś w lesie wykończą. Zjadłem zupełnie, wszystkich wypuścili, a mnie trzymali jeszcze trzy godziny w napięciu.

Wreszcie wypuścili za bramę, gdzie czekała żona.

W domu okazało się, że sędzina wypuściła mnie z więzienia pod warunkiem, że żona ulokuje mnie od razu w szpitalu i że miejsce mam już przygotowane na neurologii u doc. N. w szpitalu na Grenadierów.

Niechętnie szedłem do szpitala, nie potrzebowałem leków, ani lekarzy, ale spokoju i odpoczynku od ludzi.

Byłem zastraszony i załamany, dom i opieka żony najlepiej by mi zrobiła, ale szpital był zaplanowany przez reżysera. Tak więc znalazłem się w czteroosobowym pokoju szpitalnym.

Następnego dnia pacjent leżący obok mnie został przeniesiony do innego pokoju, a na jego miejsce przyszedł nowy. Od pierwszej chwili zorientowałem się, że przyszedł anioł stróż, ale przypuszczałem, że chce on po prostu słuchać co ja mówię i wy badać co myślę. Mówiłem więc jak najmniej. On zresztą nawet nie ukrywał, że jest agentem milicji, np. opowiadał, że nogę, którą miał mocno uszkodzoną „załatwił” sobie przy pracy, tzn. wpadł pod tramwaj śledząc jakiegoś delikwenta. Leżeliśmy tak koło siebie około dwóch tygodni, od czasu do czasu rozmawiając. Nie leżał on z powodu tej nogi, miał ją uszkodzona i sztywną w kostce, ale już dawno zagojona. Teraz leżał na neurologii, bo coś mu się stało, że z rąk wszystko mu wypada – tak twierdził. Nie wierzyłem mu jednak.

W tym czasie głośna była sprawa niejakiego Strawy skazanego na śmierć za szpiegostwo. Gdy zagadało się coś na ten temat wyraziłem opinię, że nie jestem taki pewien czy ten Strawa był faktycznie szpiegiem, gdyż znam inne wypadki, że niewinnych ludzi, skazywano za szpiegostwo przy pomocy fałszywych świadków. Sąsiad był tym bardzo poruszony, i przyznał, że faktycznie były fałszywe procesy szpiegowskie, ale to dawno, za Stalina. Nie dotyczy to w żadnym wypadku Strawy, bo nawet on sam widział lecąc razem ze Strawą samolotem, jak ten robił fotografie przez okienko samolotu. Wynikało z tego, że śledził również Strawę i na pewno był świadkiem na jego procesie. Chociaż sąsiad starał się jak najbardziej zbliżyć i wchodzić w komitywę ze mną, ja odwrotnie coraz bardziej się go bałem i starałem się coraz mniej mówić. Jednocześnie wystąpiłem do lekarki i ordynatora, aby mnie przeniesiono do innego pokoju.

Nadeszła niedziela. Dosyć wcześnie przed południem przyszły do sąsiada dwie panie, usiadły koło niego (i koło mnie, bo łóżka stały obok siebie), ustawiły stolik i rozłożyły poczęstunek. Sąsiad usiłował mi je przedstawić, że to siostra z matką, czy kuzynką, ale ja nie dawałem się wciągnąć do towarzystwa. W pewnej chwili sąsiad powiedział do mnie: „Panie Kowalczyk, siostra była w Wiedniu, właśnie z Wiednia przyjechała i przywiozła pumpernikiel”.

Nie zwróciłem na to uwagi i nic nie odpowiedziałem. Ale minęła minuta, czy dwie i sąsiad ponownie zwrócił się do mnie:

„Panie Kowalczyk, siostra z Wiednia przyjechała i przywiozła pumpernikiel”.

Co on chce ode mnie, pomyślałem z lękiem, skuliłem się wewnętrznie i odwróciłem się do nich tyłem na łóżku, znów nic, ani słowa nie

odpowiadając. Instykt mnie ostrzegł, ani słowa nie odpowiedziałem, tak jak bym wiedział, że każde słowo grozi śmiercią. Za dwie, czy trzy minuty głos sąsiada znów mnie zaatakował:

„Panie Kowalezyk, panie Kowalczyk, tu siostra z Wiednia przyjechała i przywiozła pumpernikiel” – mówił sąsiad ze specjalnym akcentem wezwania i jakiegoś porozumienia.

Po tym trzecim odezwaniu się sąsiada, znów nie odzywając się ani słowem wstałem z łóżka i wyszedłem z pokoju.

Byłem cały czas w lęku jeszcze z czasów więzienia, dziwne więc, że byłem w szpitalu, lekarzom wszystko opowiedziałem o przeżyciach w więzieniu, o truciznie i oku, na które zaniewidziałem, o plamie na oku i o lękach, które przeżyłem i mimo to lekarze „badali” mnie tylko, już dwa tygodnie, a nic mi nie zaordynowali, nic mi nie dawali na uspokojenie. Skutek był prawie tragiczny. Bezpośrednim powodem nieszczęścia stała się ta sytuacja. Nie rozumiałem o co chodziło sąsiadowi, co on chce ode mnie, dlaczego tak dokładnie słowo w słowo powtarza do mnie to samo, z takim jakimś akcentem. Widziałem i czułem, że jest w tym coś dziwnego i groźnego, a dlatego, że nie rozumiałem co to jest, powiększało to jeszcze mój lęk i zapoczątkowało jakby atak lęku i grozy, który nierozładowany, powiększał się przez następne godziny.

Po wyjściu z pokoju poczekałem na korytarzu i w holu na swoją rodzinę, a gdy przyszła poszliśmy od razu do parku. Była ładna ciepła pogoda. Do parku wyszedł również sąsiad ze swymi paniami i dwukrotnie usiłował zbliżyć się do mnie, przysiąc na moją ławkę, czy na stojąco coś zagadać. Ale ja oba razy uniemożliwiłem to odchodząc po prostu bez słowa, udając, że ich nie widzę i nie słyszę. Popołudniu gdy rodzina odeszła poszedłem na swoje łóżko, położyłem się tyłem do sąsiada i udawałem, że śpię. Jego panie również poszły do domu, a on dał mi odczuć swoją złość i niezadowolenie i powiedział coś niby do siebie, co było groźbą dla mnie.

Długo leżałem z przerażeniem w sercu co oni znów nowego knują, aż wreszcie w nocy wstałem, wyszedłem na korytarz, zobaczyłem, że w pokoju zabiegowym nie ma nikogo, więc wszedłem i z szafki z lekarstwami wziąłem szybko duży słoik jakichś leków, wyniosłem go do łazienki i tam popijając wodą połknąłem cały słoik jakiegoś lekarstwa.

Wróciłem do łóżka i obudziłem się po kilku dniach. Ledwo, z wielką trudnością mnie odratowali. Zaczęli ratować bardzo późno, bo dopiero popołudniu następnego dnia. Podobno myśleli, że ja śpię. A ja znów umierałem po raz któryś tam z rzędu w swoim życiu. Jestem jednak pewny, że zatrucie to przeważyło szalę i bardzo mi pomogło w sprawie u szefa szantażystów, tzn. na skutek tego zatrucia koncepcja zlikwidowania mnie drogą oskarżenia o szpiegostwo ostatecznie upadła, a droga likwidacji poprzez „wariactwo” zwyciężyła.

Po odratowaniu mnie zaprzestano „badań” w tym szpitalu, wypisano mnie i ulokowano w Tworkach. Chociaż byłem ciężko chory nie długo tam posiedziałem, bo płakałem bez przerwy i prosiłem żonę i matkę, aby mnie zabrały do domu. Tak też się stało. Było to około połowy grudnia 1969 roku. Zostałem wypisany nadal bez stwierdzenia choroby psychicznej.

W domu, we wsi Rusiec 28, gm. Nadarzyn, na 2 ha gospodarstwa rolnego była cisza, spokój i dobra opieka rodziny. W tych warunkach bardzo szybko odzyskiwałem zdrowie i powracałem do życia. Ale sprawa podejrzanego o szpiegostwo Jerzego Kowalczyka nie była zakończona, akta tej sprawy leżały gdzieś w prokuraturze i domagały się, albo umorzenia, a jeśli umorzenia to jakiejś podstawy do tego umorzenia, czyli oficjalnego stwierdzenia choroby psychicznej, albo rozprawy sądowej.

Za pośrednictwem rodziny przysłali mi lekarza, ten wziął 30.000 zł i przyprowadził drugiego lekarza, który miał sprawę „załatwić” i „wyprowadzić”. Nie było to takie proste i łatwe, bo ja czułem się coraz lepiej, przede wszystkim byłem całkowicie niewinny i nie rozumiałem bezwzględnej konieczności, że muszę zostać „wariatem”. Po co? Ja wariatem nie chciałem być.

Dr Edward K., lekarz ze szpitala w Tworkach, zam. w Otrębusach, który „załatwiał” sprawę i przyjeżdżał do nas do domu na konsultacje zaczął mi grozić i straszyć. Ja zacząłem się stawiać, tzn. nie chciałem akceptować jego dyplomatycznej taktyki, tzn. nie chciałem symulować. Ale ostatecznie napisałem mu kilka listów symulujących chorobę i następnie dopomógł nam przypadek. Nie chciałem iść do szpitala, (aby otrzymać szpitalną diagnozę), bałem się, no i zdarzyło się, że musiałem.

Dostałem ataku wyrostka robaczkowego, żona zawiadomiła dr K., on załatwił miejsce, zawieźli mnie do szpitala w Pruszkowie na chirurgię, tam dostałem zastrzyk i ... obudziłem się w Tworkach. Po kilku dniach zażądałem wypisania, lekarz oddziałowy i dr K. usiłowali przekonać mnie, że powinienem zostać chociaż ze dwa tygodnie, ja nie chciałem się zgodzić i ostatecznie zostałem wypisany, ale już z diagnozą choroby psychicznej, zespołu paranoicznego. Było to w czerwcu, nie jestem pewien roku, ale chyba na pewno w 1971.

Wkrótce po tym, w końcu lata dostałem wezwanie na Komisję Sądowo – Lekarską do Instytutu Psychiatrycznego w Tworkach. Komisję przeprowadziła doc. U. z jakimś drugim lekarzem. Na komisji opowiedziałem o otruciu w więzieniu, o plamie na oku i przebiegu sprawy sądowej. Komisja wydała opinię sądowo – lekarską, że jestem całkowicie nieodpowiedzialny za swoje czyny i będę takim do końca życia. Taka opinia zamykała sprawę bezapelacyjnie i umożliwiała nie ujawnianie akt, prokuratura nie potrzebowała przekazywać akt do Sądu.

Lekarz Edward Krzemiński, który załatwiał sprawę tej diagnozy szpitalnej, bez której przypuszczam, że Komisja Sądowo – Lekarska nie mogłaby wydać takiego orzeczenia, zażądał zapłaty i ja chociaż zdawałem sobie sprawę, że działał on na zlecenie mafii i gangu, a nie w gruncie rzeczy dla mnie, wypłaciłem mu jednak gratyfikację w wysokości 30.000 zł. Oprócz tego dostawał oczywiście zawsze za spotkania i wizyty.

Mniej więcej w tym samym czasie spotkałem na ulicy przypadkowo Teresę Gierz Michalską i na jej widok przypomniałem sobie jak to wiele lat temu zapewniała mnie, że bardzo pomogą mi ludzie, którzy powiedzą, iż przyjechali z Wiednia i przywieźli pumpernikiel. Zrozumiałem dopiero wtedy całą grę z tym pumpernikiel. Był to raczej głupio ułożony plan, bo chyba trudno było się spodziewać, abym ja po latach i takich przeżyciach pamiętał to hasło i odpowiedział na nie odzewem. A jednak tak było zaplanowane i tak mogło się stać. Pewno dlatego nie dawano mi wtedy żadnych leków, abym nie był niczym odurzony. Mocodawcy Teresy Gierz Michalskiej wiedzieli, że będę po ciężkich przeżyciach, dlatego ona wspominała, że „gdy będę w ciężkiej sytuacji” – ta ciężka sytuacja wymagała pomocy, dlatego obiecywała, że gdy tak, a tak odpowiem, ludzie ci udzielą mi bardzo dobrej pomocy.

Jestem jednak pewien, że gdybym odpowiedział cokolwiek na owo hasło: „panie Kowalczyk, siostra z Wiednia przyjechała i przywiozła pumpernikiel”, gdybym odpowiedział wszystko jedno co, tak wykierowali by rozmowę, że następnie potraktowali by to jako wypowiedzenie odzewu i jako dowód, stwierdzony przez agenta i dwie panie, dwóch świadków, że Kowalczyk jest jednak szpiegiem: odpowiedział na wywoływane hasło. Wielkie zwycięstwo, złapaliśmy szpiega. A ciężko chory człowiek, oczywiście niewinny i nieświadomy tego co się w ogóle dzieje, poszedłby z powrotem do więzienia na wiele lat.

Gdy to wszystko sobie uświadomiłem wpadłem znowu w szok ze strachu, jak o mały włos szczęśliwie uszedłem z życiem i czy nadal coś mi nie zagraża. Obawiałem się, że sprawa niewyjaśniona i nieujawniona całe życie będzie się wlokła za mną i groziła mi niebezpieczeństwem. Dlatego napisałem krótką skargę do Prokuratury Generalnej tylko na jeden fakt i jedną osobę: Teresę Gierz Michalską, która podstępnie zapoznała mnie z hasłem i odzewem i usiłowała wyłudzić ze mnie wypowiedzenie tego odzewu i „zrobić” ze mnie szpiega. W skardze podałem oczywiście fakt, że w listopadzie 1969 roku w szpitalu na ulicy Grenadierów funkcjonariusz Kom. St. M.O. wywoływał do mnie hasło, o czym na pewno wiedziała Prokuratura.

Ja wówczas, na hasło to nie odpowiedziałem odzewem, bo nie pamiętałem sprawy, ale obecnie podaję ten odzew i domagam się śledztwa, kto i dlaczego usiłował zrobić ze mnie szpiega, oraz ile i jakich więcej poszłak

było na ten temat wykonanych. Skargę wysłałem do Prokuratury Generalnej i wkrótce otrzymałem pismo, że skarga została przekazana do Prokuratury Wojewódzkiej Wydział II tzn. do prokuratury, która prowadziła poprzednio wszystkie sprawy przeciw mnie. Z Prokuratury Wojewódzkiej Wydział II nie otrzymałem nigdy żadnej oficjalnej odpowiedzi.

Natomiast w około dwa, trzy miesiące po tym, zostałem bezczelnie ciężko zatruty przez znajomego, trzy dni leżałem w domu cierpiąc na bóle żołądka, wreszcie zgodziłem się na przewiezienie do szpitala wewnętrznego, a stamtąd znów po wywarciu na mnie dużej presji zgodziłem się na przewiezienie do szpitala psychiatrycznego.

Odbyło się to bardzo zwyczajnie. Na umówionym z góry spotkaniu mój znajomy, Jerzy Pawlak, ówczesny kierownik restauracji „Ulubiona”, w pokoju na terenie tej restauracji poczęstował mnie specjalnie przyrządzonymi koreczkami z sera, mięsa i ostrych przypraw. Jeden z koreczków, na pewno dla wtajemniczonych odpowiednio zaznaczony i zjedzony przeze mnie zawierał truciznę.

W kilka godzin po zjedzeniu chwyciły mnie gwałtowne, napadowe bóle brzucha, połączone z gorączką i ogólnym wrażeniem jakby zewnętrznego poparzenia skóry brzucha. Napady bólu trwały około pół godziny do godziny i powtarzały się wielokrotnie co kilka godzin przez trzy dni. Jednocześnie trwało zaparcie żołądka o wielkim nasileniu, a kał, który zdołałem z siebie jakoś wydusić był suchy i czarny jakby spalony. Skóra na brzuchu bolała tak jakby była poparzona. Dużą ulgę przyniosły mi mokre kompresy na brzuch i korpus. Szybko zorientowałem się, że zostałem zatruty, dlaczego i w jakim celu. Stawiłem opór i trzy dni zwlekałem, ale wreszcie pod naciskiem rodziny zgodziłem się na szpital, najpierw wewnętrzny. Tam nic mi nie podano i niczego nie stwierdzono, oprócz konieczności wysłania mnie do szpitala psychiatrycznego. Pod dużą presją zgodziłem się na to i przewieziono mnie bezpośrednio ze szpitala na Nowogrodzkiej do Tworek. Fakt ten był istotny i charakterystyczny.

Dlaczego do Tworek? W Tworkach na izbie przyjęć lekarka nie wiedziała dlaczego jestem skierowany do Tworek, wahała się, ale w końcu mnie nie przyjęła i odesłała tą samą karetką do szpitala na Nowowiejskiej, do którego wg obowiązujących przepisów powinienem być zawieziony. W ten sposób, właściwie przypadkowo poznałem lepsze od Tworek szpitale psychiatryczne.

Jednocześnie w ten sposób nauczono mnie, abym co roku do takiego szpitala dobrowolnie przychodził i „kurację” przeprowadzał.

Zatrucie i przymuszenie do kuracji w szpitalu psychiatrycznym było więc odpowiedzią gangu na moją prośbę o wyjaśnienie sprawy tzw. „podejrzeń o szpiegostwo”.

Po tym doświadczeniu przez następne 6 czy 7 lat tzn. do 1978 roku włącznie, co roku udawałem się do rejonowej lekarki dr K, prosiłem ją o skierowanie do szpitala i odbywałem czterotygodniową szpitalną kurację, która właściwie polegała na odpoczynku, bo żadnych silnych leków nie przyjmowałem.

W domu w ogóle żadnych leków nie brałem i nie biorę.

Jednocześnie zacząłem na nowo pracować. Początkowo na posiadanym 2 ha gospodarstwie rolnym we wsi Rusiec, gm. Nadarzyn, zorganizowałem hodowlę kur, jednocześnie pracowałem około roku u brata Krzysztofa, ówczesnego właściciela motelu „Mak” w Sistrzeni, (7 od Ruśca), a wreszcie sam rozpocząłem budowę i 3 sierpnia 1978 roku otworzyliśmy z żoną własny hotel restaurację „George” na terenie posiadanego gospodarstwa.

Wiosną 1978 roku, jak co roku zgłosiłem się do szpitala Instytutu Psychoneurologicznego na Stegnach w Warszawie, aby odbyć normalną kilkutygodniową kurację. Ale jednocześnie budowałem przecież hotel i byłem bardzo zapracowany. Kilka razy, zaraz na początku kuracji prosiłem lekarza o przepustkę do domu. Lekarz dawał mi przepustki, ale był niezadowolony.

Po dwóch tygodniach takiej kuracji „w kratkę” na wniosek lekarza wypisałem się ze szpitala.

W tymże roku 1978 Wydział Komunikacji Warszawa Mokotów (tzn. dzielnicy gdzie byłem zameldowany) na skutek jakiegoś meldunku na ten temat zażądał ode mnie zwrotu posiadanego od 1955 roku prawa jazdy, twierdząc, że będąc sądownie ubezwłasnowolniony nie mam prawa prowadzić pojazdu mechanicznego. Ponieważ posiadałem samochód od wielu lat i obecnie był on mi niezbędny do pracy musiałem przeprowadzić postępowanie sądowe zakończone postanowieniem Sądu Wojewódzkiego w Warszawie (nr post. 472/78) stwierdzającym uchylenie poprzednio obowiązującego postanowienia tego Sądu o całkowitym ubezwłasnowolnieniu.

Tzn. w roku 1971 Sąd Wojewódzki w Warszawie przy udziale prokuratora wojewódzkiego i (rzekomo) biegłych lekarzy psychiatrów wydał postanowienie o całkowitym ubezwłasnowolnieniu mnie na zawsze, a w roku 1978 ten sam Sąd, również przy udziale prokuratora i biegłych psychiatrów, wydał postanowienie uchylające ubezwłasnowolnienie, czyli przywrócił mi moją osobowość prawną. Sąd i biegli motywowali to polepszeniem stanu zdrowia. Po uzyskaniu tego postanowienia złożyłem do Sądu pismo ostro krytykujące biegłych lekarzy, którzy wg mnie mieli obowiązek stwierdzić pomyłkę w opinii poprzedniego postanowienia, a nie poprawę stanu zdrowia.

W 1979 roku nie zgłosiłem się w ogóle do szpitala psychiatrycznego na kurację. Prowadziliśmy z żoną hotel restaurację „George”. Ciężką pracą wyrobiliśmy sobie bardzo dobrą firmę, mieliśmy powodzenie u klientów, smaczną kuchnię, dobre zaopatrzenie, czyste 22 pokoje z łazienkami, w doskonałym punkcie pod Warszawą.

Byłem całkowicie zapracowany, a praca jest najlepszym lekarstwem. Minęło dziesięć lat od otrucia mnie w więzieniu. Zapomniałem o całej tamtej aferze. Miałem teraz tyle innych, normalnych, zwykłych ludzkich problemów, z zaopatrzeniem, z pijakami klientami, z funkcjonowaniem urzędów i całego interesu. Zapomniałem i myślałem, że tamci też zapomnieli.

Indyk myślał o niedzieli, a w sobotę leb mu ucięli. Okazało się, że Cezar jest sprawiedliwy i nigdy niczego nie zapomina.

W styczniu 1980 roku dostałem napadowych bóli brzucha. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że wyglądały trochę inaczej niż bóle, które dostałem po zatruciu w 1973 roku. Nie pamiętam, abym odczuwał wtedy wrażenie poparzenia skóry brzucha.

Chorowałem trzy dni w domu i niczego, głupi, nie domyśliłem się, że jest to ostrzeżenie i wezwanie do szpitala. „Oni” też mnie nie uświadomili, np. okólną drogą przez rodzinę. Gdybym się domyślił i wiosną 1980 roku poszedł jednak na kurację do szpitala psychiatrycznego, myślę, że zaspokoiliby to na razie wymagania gangu. Ale nie poszedłem, a im też chyba na tym nie zależało, bo gdyby im zależało, umieliby mnie zainspirować, odpowiednio podszeptać tu, czy tam, tak jak to w przeszłości bywało. Nie zrobili tego, mieli inny plan.

Po wyzdrowieniu poszedłem do prywatnego lekarza w Warszawie. Ten kazał mi zrobić wszystkie badania, a ja ich nie zrobiłem.

W kwietniu 1980 roku ponownie dostałem napadowych bóli brzucha. Znow cierpiałem w łóżku z gorączką. I znow się niczego nie domyśliłem. Żona zawiadomiła starego znajomego lekarza Edwarda K., który mieszka w Otrębusach, a więc nie daleko nas i który jest obecnie na wysokim stanowisku naczelnego dyrektora szpitala w Tworkach. Dr K. w 72 roku „zrobił” mnie wariatem, wziął pieniądze za to i przez wiele lat nie mieliśmy z nim kontaktu, ale w ostatnich miesiącach zaczął na nowo „kręcić” się koło nas, tzn. nawiązał z nami na nowo stosunki jakby trochę takie towarzyskie. Żona zawiadomiła go o bólach, on przyjechał i zaproponował, że załatwi mi miejsce w szpitalu kolejowym w Pruszkowie, gdzie zrobimy wszystkie konieczne badania w celu wykrycia co mi dolega. Ja się zgodziłem i po paru dniach znalazłem się na oddziale chirurgicznym szpitala kolejowego w Pruszkowie pod opieką ordynatora dr Polańskiego.

Dr Krzemiński odwiedzał mnie kilka razy w tym szpitalu. Za załatwienie tego miejsca zapłaciłem mu pięć tysięcy zł. i trzy butelki koniaku, a od żony dostał też dwa tysiące zł., i myślałem, że dlatego może poczuwał się do

częstych odwiedzin. Przedostatniego dnia pobytu przyszedł do mnie i powiedział jakoś dziwnie przy powitaniu:

„I po co Panu to wszystko, tyle pracy, taki hotel, restauracja, piękny obiekt, dobra firma, po co to wszystko?”

Popatrzyłem na jego napiętą i zmęczoną twarz, nawet z kropelkami potu i trochę urażony odpowiedziałem:

„A po co Panu to wszystko, tytuły, konferencje, naczelne dyrektorstwo wielkiego szpitala, też lata Pan z wywieszonym językiem, po co Panu to wszystko?”

„Ma Pan rację” – odpowiedział.

Spytałem jakie są wyniki badań i odpowiedział mi, że nic nie znaleziono. Porozmawialiśmy jeszcze trochę, powiedział mi, że następnego dnia „zajrzą mi jeszcze trochę do żyłaków w odbycie” i będzie koniec badań. Pamiętam, że mówiąc to był jeszcze bardziej spocony.

Następnego dnia rano dr Polański stwierdził, że badania nie dały żadnego wyniku i że zrobi mi jeszcze dzisiaj retroskopię odbytnicy z wlewem i jutro mogę iść do domu.

Następnie pielęgniarka wzięła mnie do łazienki i podczas trzeciej z kolei lewatywy (tak dokładnie mnie czyścili do egzekucji) przypomniałem sobie jak Stasiek Gałązka zapowiadając mi program prowokacji i szantażu ostrzegał, że jeśli chociaż raz powiem komukolwiek kto podał mi truciznę w więzieniu to będę zamordowany, np. przy badaniu hemoroidów.

Zrozumiałem przepiękną kombinację i aż zmartwiałem ze strachu. Bóle brzucha i w styczniu i w kwietniu były wynikiem umyślnego zatrucia. Zwabili mnie tutaj do szpitala, aby pod pretekstem badań wykonać wyrok śmierci. Ordynator dr Polański, dobry chirurg na usługach gangu robiąc retro-skopię odbytu z wlewem, czyli znieczuleniem, ma tam coś tak uszkodzić, aby był koniec.

Po lewatywie poszedłem do pokoju i zaraz był obchód. Dr Polański w towarzystwie innych lekarzy i pielęgniarek weszli do naszego pokoju. Wtedy powiedziałem, że telefonowałem do żony i ponieważ ona nie daje sobie rady z robotą jeszcze dzisiaj muszę opuścić szpital i na retro-skopię się nie zgadzam. Dr Polański zawsze bardzo uprzejmy i rumiany, aż zbladł z wrażenia i brutalnie odpowiedział:

„No, gdyby był w więzieniu, to bym wiedział co z nim zrobić” - bardzo dziwnie to zabrzmiało w ustach lekarza ordynatora w szpitalu i będę pamiętał to całe życie. Aż się zatrząsnę i chciałem rzucić na niego, ale pomyślałem sobie, że muszę być bardzo ostrożny. Za godzinę wyjechałem ze szpitala.

Lekarz Krzemiński (nie doktor, bo doktoratu nie ma chyba do dzisiaj) przyjechał do „Georgea” zaraz po pracy, około piątej po południu i czekał na mnie do dziesiątej w nocy, bo mnie nie było. Wielki dyrektor wielkiego

szpitala, bardzo wpływowy człowiek, pięć godzin czekał na głupiego Kowalczyka, aby z nim porozmawiać i dowiedzieć się co się stało, że uciekł katowi spod noża, że urwał się ze stryczka i jeszcze żyje. Czy dostał może cynk? Bardzo się przestraszyli, czy to nie jakiś numer na nich ustawiony? Krzemiński był blady i bardzo grzeczny. Ja mu powiedziałem wszystko szczerze co myślałem, a on się nie zapierał. Postawił ciekawą propozycję: „żeby uznać wszystko za niebyłe, że będę miał spokój, że będę miał George’a, że będę miał teraz piękne życie”, aby tylko uznać to wszystko za niebyłe. Była to poważna propozycja i zastanawiam się, czy nie zrobiłem błędu, odrzucając ją. Ale czy można było ją przyjąć?

„Czy można uznać to co było, za nie byłe?” – spytałem.

Przez kilka dni przyjeżdżał do żony by z nią rozmawiać i ją ustawiać, w rezultacie prosiła mnie kilka razy, abym pamiętał o jego zasługach dla siebie, które kiedyś mi ofiarował i abym się nie skarżył na niego. Jak można się nie skarżyć na lekarza zbrodniarza, biorącego udział w perfidnych morderstwach i szantażach. Gdy narzucającego się beczelnie spotkałem raz w recepcji swego hotelu i wygoniłem go stwierdzając, żeby przyjął do wiadomości, że uważam go za pospolitego zbrodniarza kryminalistę i nie życzę sobie, aby do mnie przyjeżdżał, to za parę dni znów go widziałem. Przyjechał i przyjeżdża, aby mi pokazać, że ja nie mam nic do gadania na terenie swej własnej posiadłości, bo on członek gangu i zbrodniarz, może wbrew mojej woli bywać u mnie ile zechce.

Bezpośrednim wykonawcą, katem, miał być ordynator oddziału chirurgicznego szpitala kolejowego dr P. Należałoby dobrze zbadać jego przeszłość, a w szczególności wszystkie wypadki śmierci, jakie zaszły po jego operacjach i badaniach.

W ciągu trzech dni po wyjściu ze szpitala kolejowego napisałem i wysłałem skargę do sekretarza K.C. Partii Edwarda Gierka i w skrócie opisałem szantaż i fakty, odpowiedzi na skargę nie dostałem.

Jednocześnie postarałem się o skierowanie i poszedłem na miesiąc do szpitala psychiatrycznego do Instytutu na Stegnach. Tak lekarka rejonowa dr Krzyżańska, jak i szpital dostał kopie mojej skargi do Gierka.

W grudniu 1979 roku starałem się o paszport na wyjazd urlopowy z żoną za pośrednictwem Orbisu na Kubę, samolotem bezpośrednio z Pragi czeskiej. Paszport był już wystawiony i w ostatniej chwili władze zabrały go z powrotem z Orbisu uniemożliwiając nasz wyjazd.

W październiku 1980 roku wystąpiłem ponownie o paszport na wyjazd indywidualny z żoną do Hiszpanii i Niemiec i 17.11.1980 paszport otrzymałem. Jestem w tej chwili w Niemczech Zachodnich.

Uważam, że przestępczy gang działający w aparacie wymiaru sprawiedliwości w Warszawie, który powołując się na hasła i idee polityczne wyłudzał wielkie pieniądze stosując bandyckie metody wyrządził olbrzymie

szkody moralne i polityczne Partii, Państwu i Społeczeństwu. Nie ja jeden byłem ofiarą tego gangu. Wiele ofiar nie bronilo się wcale, nie stawiali oporu, nie pisali skarg i płacili okup ile mogli i mieli. Ja dlatego, że stawiałem opór poniosłem znacznie większe straty i omalże nie zostałem zgładzony. Korupcja i zgnilizna powszechna wśród adwokatów w dużym stopniu umożliwiała działanie gangu. Olbrzymie korzyści majątkowe wyłudziła oni od bogatych ludzi, którzy faktycznie popełnili mniejsze, czy większe przestępstwa. U mnie gang poważyl się na napad nie mając dowodów winy i podstaw prawnych i wykorzystał możliwości „prawa klasowego”, czyli politycznego nacisku na ludzi spoza gangu, którzy mieli coś do powiedzenia w sprawie.

Gang miał na pewno takie czy inne wpływy polityczne i być może miał jakieś cele polityczne również w mojej sprawie. Wszyscy jednak wyłudzała pieniądze i korzyści materialne były celem podstawowym.

Agent M.O. Stanisław Gałązka, agentka M.O. i Ministerstwa Spraw Zagranicznych Teresa Giercz Michalska, prokurator Paczyński z panią Wandą, prokurator Pawelec z adw. Wurclem, sędzia Sądu Wojewódzkiego zamieszkała w Nowym Dworze, prokurator Kłosiński z adwokatem Ramosem, biegli księgowi, lekarz Krzemiński, wyłudziła ode mnie łącznie przeszło milion złotych, co na tamte czasy było wielką sumą.

W działaniach zabezpieczających szantażystów tzn. w zatruciach umożliwiających opiniować, że jestem chory psychicznie, brali bezpośrednio udział: fryzjer więzienny z pawilonu dziesiątego na Mokotowie w sierpniu 1969 roku i kilku ludzi obsługi tego więzienia, myślę, że na pewno naczelnik więzienia z tego czasu, (obszerne akta na ten temat muszą być w więzieniu). Na wolności zatruli mnie w 1973 roku Jerzy Pawlak, w towarzystwie ogrodnika Andrzeja Szczecińskiego i cukiernika Jerzego Marszałka, którzy musieli wiedzieć, który koreczek jest zatruty, lub mieli nakazane nic nie jeść. W 1980 roku zatruli mnie w mojej restauracji, albo Robert Kaczmarczyk kelner, albo kucharz Władysław Kowalewski.

Usiłowała mnie fałszywie oskarżyć o szpiegostwo Teresa Giercz Michalska. Doc. Uszkiewiczowa wydała opinię o mojej całkowitej nieodpowiedzialności bezinteresownie i właściwie dla mego dobra, ale chyba na zlecenie gangu. Ja byłem i jestem bardzo odpowiedzialny. Jestem oczywiście ciężko chory psychicznie, ale nie na zespół paranoiczny, lecz na skutek zbrodniczych napadów na mnie, mój mózg jest uszkodzony, zorany bliznami po głębokich szokach – jestem chory tak jak ludzie, którzy cudem uniknęła krematorium i przeżyła obóz koncentracyjny.

Akta prokuratorские, w których znajduje się opinia doc. Uszkiewiczowej, na pewno zawierają wiele dowodów nie przeciw podejrzanemu o szpiegostwo Jerzemu Kowalczykowi, lecz przeciw tym, którzy zbierali i fabrykowala te akta.

Jest w sprawie wielka zagadka – plama na oku. Jaką metodą ją wywołano i po co? Wszyscy lekarze, z którymi prywatnie rozmawiałem twierdzili, że jest to niemożliwe. Moje uporczywe twierdzenie o plamie na oku było uważane za dowód moich urojeń, czyli choroby psychicznej. Plama na oku miała prawdopodobnie na celu takie zaszokowanie mnie, by doprowadzić do manii prześladowczej i choroby psychicznej. Ale jaką metodą ją wywołano, jak otworzono drogę dla trucizny z żołądka do wybranego lewego oka? Myślę, że fachowcy kryminolodzy znają tajemnicę takiej plamy i znajdzie się ktoś, kto mi pomoże wyjaśnić tę sprawę. Bo plama na oku była, lewe oko długo chorowało i powodowało przykre bóle, aż wreszcie po 2-3 latach choroby lekarze tak zadecydowali, a ja zgodziłem się i lewe oko zostało usunięte.

Takie były fakty.

Teraz wszystko zależy od Pana decyzji. Czy ogniem wypali Pan trąd w Pałacu Sprawiedliwości, czy też stwierdzi Pan typowy zespół paranoiczny u Jerzego Kowalczyka. Myślę, że będzie to miało wielkie znaczenie nie tylko dla mnie, ale i dla Pana i dla wszystkich. Połowiczne załatwienie sprawy nic nie da. Sprawy nie załatwione mają to do siebie, że czekają na załatwienie. Proszę zauważyć, że jeszcze po 40 latach hitlerowscy zbrodniarze pociągani są do odpowiedzialności. Hitlerowcy też powoływali się na ideę, a okazali się zwykłymi zbrodniarzami.

Prędzej czy później przyjdzie kryśka na matyska również na kryminalistów popełniających zbrodnie za Gomułki i Gierka.

Bardzo proszę o zarządzenie śledztwa i wyznaczenie uczciwego, dobrego prokuratora, a on znajdzie tysiące dowodów na potwierdzenie mego oskarżenia.

Oczekując szybkiej odpowiedzi, pozostaję

Z poważaniem,

Jerzy Kowalczyk

P.S. Skarga moja na Teresę Giercz Michalską z dnia 15 maja 73 roku zarejestrowana była dnia 11.6.73 r. w Prokuraturze Generalnej Departament II pod numerem DP Ko 942/ 73/W.